



PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBURG**

EKSPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowieza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

Wykształcenie praktyczne dziewcząt

W SZWECYI.

W krajach, umożliwiających kobiecie dostęp do najgłębszych krynic wiedzy, daje się obecnie odczuwać dążenie do pogodzenia wyższych potrzeb umysłowych rodzaju niewieściego z wymaganiami, stawianymi kobiecie przez praktyczną stronę życia. Za wyraz tego dążenia można np. uważać tak rozpowszechnione dzisiaj na Zachodzie szkoły profesjonalne dla kobiet. Na tę stronę wykształcenia kobiecego zwróciła uwagę i praktyczna Szwecya, gdzie zwłaszcza podnieść należy umiejętne połączenie praktycznej nauki gospodarstwa domowego z średnim ogólnym wykształceniem dziewcząt.

Przed dziesięcioma laty w Sztokholmie zaczęto wydawać bezpłatne obiady dla biednych uczniów i uczennic szkół miejskich. Z początku brano te obiady z ogólnych kuchni parowych, następnie zaczęto na próbę przygotowywać obiady w kuchniach, które urządzało przy szkołach, aby starsze uczennice miały sposobność uczyć się pooglądowo sztuki kulinarnej. W następstwie tego powstały z biegiem czasu przy szkołach żeńskich kuchnie naukowo-praktyczne, w których wszystkie uczennice pobierały naukę gotowania i w ogóle praktycznych zajęć kobiecych. Tą drogą osiągnano cel podwójny: z jednej strony biedne dzieci otrzymywały tańsze i lepsze pożywienie, a z drugiej przygotowywano uczennice do życia praktycznego, jakie większą część z nich oczekiwało po ukończeniu szkoły. Nowy ten system dzięki swej użyteczności i małym bardzo wydatkom, jakie trzeba było ponieść na urządzenie kuchni, nie napotkał żadnych trudności ze strony zarządu, zawiadującego szkołami.

Kurs teoretyczny nowego przedmiotu opracowała jedna z nauczycielek szkół miejskich, p. Nilson, i ogłosiła go drukiem w r. 1893 p. t. „Elementarne przepisy gospodarstwa domowego.” Do podręcznika dodano tablice, rysunki i ryciny, dające pojęcie o składzie chemicznym różnych produktów spożywczych, o częściach i składzie chemicznym mięsa i t. p. Tablice te i rysunki wydane zostały oddzielnie kosztem ministerium oświaty, a zakłady naukowe sprzedają je po cenie niższej.

W r. 1896 inowacya ta stanęła już na pewnym gruncie, pozyskawszy ogólną sympatyę; przy wielu szkołach urządzono specjalne pomieszczenia, przeznaczono nawet sale na wykłady gospodarstwa i gotowania. W jednej zwłaszcza z nowych szkół w Sztokholmie urządzono wzorową kuchnię. Znajduje się ona na górze, ażeby zapachy kuchenne nie rozchodziły się po całym gmachu, ma cztery blachy i jeden piec gazowy. W innych szkołach kuchnie mieszczą się na dole, lecz przy wzorowo urządzonej udoskonalonej wentylacji czystość powietrza nie pozostawia nic do życzenia, i uczennice zabezpieczone są od przeziębień. Wentylacja urządzona jest według systemu jednego z nauczycieli: pod sufitem znajdują się dwa wentylatory, świeże powietrze, przepuszczane przez nie, miesza się z powietrzem ogrzanem, podnoszącem się od kuchni do sufitu, i tym sposobem temperatura utrzymuje się ciągle w pewnych granicach, powietrze jest zawsze świeże, i unika się przeciągów, gdyż niema potrzeby otwierać okien.

W szkołach, gdzie obowiązuje nauka gotowania, codziennie w lekcjach tych bierze udział połowa uczennic danej klasy. W kuchni, gdzie jest sześć blach, gotuje codziennie 18 dziewcząt po trzy przy każdej blasze. Przy pięciu blachach uczennice przygotowują obiad dla biednych dzieci, każda grupa dla dziesięciorga, podają im obiad, zmywają naczynia i robią porządek w ku-

chni. Przy szóstej blasze gotuje się obiad dla nauczycielki i dla samych kucharek, które obiady na ostatku. Udział w gotowaniu biorą uczennice, począwszy od dwunastoletnich, uznano bowiem ten wiek za najodpowiedniejszy dla początkowej nauki praktycznej strony życia. Teoretycznego kursu słuchają tylko uczennice klas wyższych.

Zasługuje na uwagę porządek, w jakim wykładana jest nauka gospodarstwa domowego i gotowania. W początku półroczu wybierane są dziewczęta, które mają zajmować się po kolei gotowaniem. Następnie dzieli się uczennice na grupy i oddaje się każdej grupie jej blachę.

Grupa składa się z trzech dziewczyn, oznaczonych numerami: № 1, 2-gi i 3-ci. Wszystkie dziewczęta, oznaczone jednym numerem, wypełniają, każda w swojej grupie, te same czynności i w tym samym porządku. Tak np. wszystkie, oznaczone nr. 1-ym, rozpalają ogień, podtrzymują go, napełniają wodą kotły, czyszczą rądlę i blachę i gotują zupę; oznaczone nr. drugim gotują drugą potrawę, zarządzają stołem do mycia naczyń, nakrywają stoły, sprzątają, zamiatają i myją podłogi; numery trzecie przynoszą chleb, czyszczą i sprzątają naczynia kuchenne i przygotowują opał na dzień następny. Co tydzień dziewczęta zmieniają numery, tak że każda uczennica przechodzi cały kurs nauki.

Nauką kieruje jedna nauczycielka, pilnując zarazem, aby przygotowano wszystkie potrzebne produkty spożywcze, żeby numery pierwsze na czas rozpały ogień, a numery drugie i trzecie przyniosły na czas zapasy ze spiżarni, aby je zmierzili i zważyli, według wskazówek, wypisanych na tablicy szkolnej. Po ukończeniu czynności przygotowawczych, dziewczęta zajmują miejsca przy wielkim stole ogólnym, tak aby wszystkie mogły słyszeć i widzieć, co mówi, lub pokazuje nauczycielka.

Sprawdziwszy, czy uczennice zapamiętały lek-

eye z dnia poprzedniego, nauczycielka oznajmia im *menu* na dzień dzisiejszy, t. j. wymienia wagę, miarę, cenę, pożywność produktów i uczy sposobów przygotowywania z nich danej potrawy. Potem uczennice przystępują do gotowania pod dozorem nauczycielki, która wraz z potrzebą pomaga im i daje nowe wskazówki. System powyższy uznano za najodpowiedniejszy, gdyż pozwala on jednej nauczycielce kierować znaczną ilością uczennic jednocześnie.

Zajęcia w kuchni rozpoczynają się o godzinie 10-ej rano, po wysłuchaniu już przez uczennice dwóch godzin (od 8 do 10) lekcji innych przedmiotów. Obiad podawany bywa o 1-ej, a między drugą a trzecią godziną po południu dziewczęta kończą już sprzątanie. Oprócz przygotowywania potraw z produktów szkolnych dla spożycia przez uczennice na miejscu, dziewczęta, uczące się gotować, mogą przynosić z sobą własną mąkę i wypiekać z niej chleb, który zabierają z sobą do domu.

O sympatii, z jaką społeczeństwo przyjmuje naukę gospodarstwa, prowadzoną według tego nowego systemu, mogą świadczyć ofiary prywatne po 75,000 i po 100,000 koron na zakładanie kuchni szkolnych. Pomyślnie rezultaty, jakie kuchnie te dały w Sztokholmie, zachęciły i prowincję, gdzie świeżo zaczęto zakładać podobne kuchnie szkolne.

Z włączenia nauki gospodarstwa i gotowania do programu szkolnego zadowoleni są zwłaszcza rodzice uczennic, należący przeważnie do niższych, biedniejszych klas społeczeństwa, — ten system nauki dziewcząt wywołał przewrót w ich życiu, ulepszywszy pożywienie przy zwiększeniu oszczędności.

M. B.

BEZKRÓLEWIE

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

w 2-eh częściach

przez

Maryę Łopuszańską.

(Dalszy ciąg).

VII.

Zborowscy widząc, że nic nie zdziałają, idąc przeciwko Zamojskiego, gdyż codziennie stronników im ubywało, postanowili tym razem pogodzić się z nim. Pośrednictwa podjął się Mikołaj Kazimierski; starania jednak owe rozbiły się o upór i niesłuszne wymagania Zborowskich. Żądali bowiem, by hetman, za skazanie na śmierć Samuela, poniósł karę, postanowioną za przypadkowe zabicie szlachcica: odsiadanie wieży i przeproszenie, — przez dumę zrzekli się tylko wymaganej przez prawo grzywny.

Zamojski nie myślał uznać tak nieprawnych pretensji i zamierzona zgoda nie doszła do skutku.

Dnia 11 Sierpnia, prymas, myśląc, że tym sposobem powstrzyma gwałty zdarzające się niemal codziennie na polu elekcyjnym, obwołał pokój powszechny. Tegoż samego jednak dnia dziewięciu szlachty zostało zabitych w starciu zaszłem pomiędzy dwoma stronami. Wieczorem zaś, pomimo ciężącego na nim wyroku banicy, zjechał na elekcyję Krzysztof Zborowski z Olomuńca, w siedmset koni. Hetman chciał przeszkodzić temu i zastąpić mu drogę, gdy się zbliżał do Warszawy i już przygotowywał się nocą uderzyć nań ze zbrojnym poczem, gdy niespodziane odstępstwo Spytka Jordana wszystko popsowało. Bowiem w chwili gdy hufce hetmańskie miały w drogę ruszać, on ze swoim poczem, zaciągniętym na koszt Zamojskiego,

nagle przeszedł do Zborowskich, tym sposobem znaczną część obozu obnażając.

Od czasu przybycia Krzysztofa nie było ani chwili spokojnej, gdyż codziennie ludzie jego albo napadali albo gotowali się do napaści na szanę hetmańską.

*

*

Dnia 14 Sierpnia wyznaczono na wysłuchanie posłów zagranicznych. Prymas zwołał senat, który ze zwykłą wspaniałością zgromadził się w szopie, tylko hetman Zamojski był nieobecny; a ponieważ wszyscy posłowie nie mogli być przesłuchani jednego dnia, rozłożono więc posłuchanie na dwa dni. Niemalże były z początku spory pomiędzy posłami, o to, który z nich pierwszy ma mówić; w końcu postanowiono, że nuncyusz apostolski będzie miał pierwszeństwo.

Dzień był gorący i zgromadzona dokoła szopy szlachta wyrzekała wciąż na słońce, które neliłotściwie ciskało gorące swe promienie na głowy tłumów; — kłęto więc elekcyję, która trzymała tutaj, kiedy w domu żniwa i młocka.

— Żeby już tam prędzej obierali kogo chcą i puszczali nas do domu. — mówili niecierpliwi.

Pierwszego dnia mieli posłuchanie: nuncyusz, który nikogo nie zalecał wyraźnie, nacisk kładąc tylko na to, żeby obierano króla katolika, chociaż wiadano, że ma na myśli arcyksięcia Maksymiliana, — następnie Pawłowski, biskup ołomuniecki, poseł cesarski, obiecujący w imieniu arcyksięcia najrozmaitsze korzyści, w razie obioru jego pana, — potem poseł Filipa, króla hiszpańskiego, oraz posłowie księcia pruskiego i książąt Rzeszy niemieckiej.

Nazajutrz przypadała kolej na posłów moskiewskich, siedmiogrodzkich i szwedzkich. Ci ostatni postanowili mówić dopiero na końcu; a tak ogólna była ciekawość usłyszenia ich warunków, że nie zwracano niemal uwagi na to co mówiły oba poprzednie poselstwa.

Dwaj posłowie szwedzcy: Eryk Spare i Eryk Brahe wychwalali przymioty młodego królewicza, zaznaczając zręcznie znajomość języka polskiego, przyjętego od matki w dzieciństwie. Przedstawili potem rozmaite korzyści polityczne, mogące nastąpić z przyczyny obioru na tron Zygmunta, nie sypiąc jednak tak hojnie obietnicami jak posłowie rakuscy.

Lecz co bardziej niż wszelkie korzyści usposobiło naród do młodego królewicza to ta droga, płynąca w jego żyłach krew Jagiellonów. Wierząc o święcie, że wraz z nią, w sercu jego leżała choć część tych przymiotów, jakimi się odznaczał ten cały ród. Naród pragnął Zygmunta, pragnął całym sercem, strojąc w myśli tego wybrańca swego we wszystkie zalety i nietroszcząc się o to, że rzeczywistość zniszczyć może te piękne nadzieje.

Prymas stanowczo przyłączył się do koła Czarnego, oburzony zachowaniem się członków koła generalnego, w czasie ostatniego zajścia. Pierwszy to raz on, najpierwszy senator w kraju, człowiek przytem niezmiernie dumny, był narażony na tak obraźliwe przycinki i żarty dotkliwie. — Zborowscy wiedzieli, że za nim oddalają się prawie wszyscy senatorowie oraz starsi i uczciwsi z koła rycerskiego, i z wyjątkiem zaledwie kilku, pozostali tylko ci, co przez nieporządne życie potraciwszy mienie postanowili drogą zaburzeń w kraju chwycić się nieuczciwych zysków. Partya Zborowskich słabła z dniem każdym.

Jednego wieczora w namiocie pana Jacentego Poboga zebrało się kilku towarzyszy na rozmowę. Między innymi znajdował się tam stary pan Drohojowski, starosta przemyski.

— No, nie było jeszcze takiej jak ta elekcyi! — zawołał jeden z obecnych. Wiele to już się czasu zmarnowało na próżne spory i zwady.

— Jest nadzieja, że to się już niedługo skończy, — ozwał się pan Drohojowski, — bo teraz kiedy prymas przeszedł na naszą stronę, Zborowskim jakoś się nie wiedzie.

— Mości starosto, czy to prawda, że hrabia Nogarello, poseł arcyksięcia Maksymiliana był nocą u hetmana, okryty ciemnym kabatem,

aby go nikt nie poznał? — zapytał ktoś z obecnych.

— Mnie mówił pokojowiec, który go wpuszczał, że miał twarz całkiem zakrytą, — ozwał się drugi, — a z hetmanem rozmawiał jakie dwie godziny może.

Pan Drohojowski milczał czas jakiś, wreszcie ozwał się, spoglądając poważnie po obecnych.

— Tak, wszystko to prawda, moi mili waszmościowie, — i niedosć jeszcze na tem, poseł przywiózł nawet list arcyksięcia do hetmana, w którym mu ten przyobiecywał rozmaite godności, gdyby tylko dał głos za nim na elekcyi, bo rozumie to dobrze, że jego głos przechyli szalę na tę stronę, na którą padnie.

— A cóż na to hetman odpowiedział?

— A cóż, — powiedział posłowi, że arcyksięże wielce się omylił, sądząc, że on dla obiecanych godności i splendorów może odmienić swe zdanie, — że wszystko co przedsięwziął, czyni „pro publico bono“, — dawszy zaś raz sobie słowo, że jeśli nie osadzi na tronie kogoś z krewnych króla Stefana to będzie głosował za ostatnim potomkiem Jagiellonów, nie może teraz odstąpić od onego zamiaru, chociaż niema bynajmniej żadnej osobistej niechęci ku osobie arcyksięcia Maksymiliana. Przytem powiedział hrabiemu Nogarello, żeby ostrzegł swego pana, by się nie dał złudzić zbyt niemi nadziejami, bo Zborowscy to nie cały naród.

— Podobno teraz obaj bracia arcyksięcia, Mateusz i Ernest zupełnie zrzekli się kandydatury, na rzecz starszego? — zapytał pan Jacenty.

— Tak i sam cesarz Ferdynand doradza przede wszystkim Maksymiliana, bo podobno nie bardzo z nim się zgadza i chciałby go się pozbyć jak najprędzej. Zaś arcyksiążę Ernest wręcz oświadczył, że nie życzy sobie panować nad tak niespokojnym i krzykliwym narodem. Co za dziw, że obcy tak o nas sądzą, skoro odkad zebraliśmy się, wciąż się warcholim...

— Słyszeliście, panie starosto, że pan Mikołaj Kazimierski doradzał, by zawieszono rokosz, to jest obiór króla zbrojną ręką?

— A słyszałem; — myśl ową puscili Zborowscy aby snadniej przemocą Maksymiliana na tronie osadzić.

— A jabym ot co rzekł, — ozwał się jeden szlachcic, który milczał dotąd, — oto żebyście nie za morzem króla sobie szukali, jeno u siebie w domu.

— No, i kogożbyście, na ten przykład, obrali? — ozwał się pan Drohojowski trochę drwiąco.

— Mało by się to znalazło u nas takich, co by rządzić potrafili?

— Zapewne, — może pan Krzysztof Zborowski, którego jeden z jego partyzantów podał za kandydata, z czego on sam się wyśmiewał? Jego zapewne waszmość miałeś na myśli?

— Niech szczerzą Zborowscy i całe ich plemię! Niby to już bez nich nikt się nie znajdzie? — odparł szlachcic.

— Ja już wiem! — zawołał pan Ignacy, który wszedł przed chwilą niepostrzeżony. — Waszmość samego siebie podajesz za kandydata!

Szlachcic poczerwieniał z gniewu jak burak.

— Nie drwij waś, bo nie przywykłem od takich chlęstków znosić przycinki! — zawołał zaperzony.

— Jabym miał drwić z waszmości? Uchowaj Boże! Myślałem tylko sobie, jakiegobyśmy to mieli króla, w paniałej postaci i wielkiego rozumu, gdybyś waszmość został obrany! — rzekł pan Ignacy z miną potulną.

— Dałbyś waś spokój, znów cię jakaś mucha ugryzła! — ofuknął go pan Drohojowski. Mało się nasiekałeś ze Zborowczykami?

— Waszmość ze swoimi drwinkami nie dałeś mi nawet dokończyć, — ozwał się szlachcic. — Jeśli mówiłem o królu rodaku, to dlatego, że wszystkim wiadomo, iż jest koło ludzi, które o tem poważnie myśli i przygotowało nawet sztandar z napisem: „pro publico bono“ ufając, że ściągnie pod niego wszystkich co szczerze pragną dobra publicznego. Co zaś do kandydatów, to czyż trzeba daleko szukać, gdy mamy wielkiego hetmana?

— Waszmość wiedzieć musisz o tem, że hetman bynajmniej sobie tego nie życzy, — ozwał się pan Drohojowski, — gdyby bowiem myślał o tem snadno mógłby pozyskać stronników i osiągnąć koronę, skoro zażywa tyle uznania i powagi w Rzeczypospolitej jak nikt inny. Lecz tron — u nas osobliwie, — nie jest rzeczą zbyt zachęcającą...

Pan Ignacy od samego przyścia wciąż miał minę tajemniczą i obiecującą, jakby coś ważnego ukrywał w głębi duszy; dopiero jednak gdy inni goście rozeszli się i został tylko pan Drohojowski, rzekł do niego i do pana Jacentego półgłosem:

— Dzisiejszej nocy ważna wyrawa się gotuje.

— Cóż takiego? — spytał pan Jacenty.

— Mamy wykraść prymasa.

— Że też się waści wiecznie jakoweś nieprzyzwoite żarty trzymają! — obruszył się starosta przemyski. — Wiedzą o tem, że prymas jest osobą duchowną, głową kościoła i nie wolno zeń żartować w ten sposób.

— Ależ to nie żarty, panie starosto, to naszczersza prawda!

— Co mi waść pleciesz tutaj, myśląc, że mnie w pole wywiedziesz! Wykradać prymasa! I w czyjeż to głowie tak mądry pomysł zaświtał? Pewnie w waściej, gdzie tylko wróble latają, jak w pustej stodole!

— No, kiedy się tak gniewacie, panie starosto, to już nic nie powiem; dodam tylko, że ów „mądry“, jak go nazwaliście, pomysł, zrodził się nie w mojej ale w hetmańskiej głowie, — odciął się nieco urażony pan Ignacy.

— Cóż to jest, odpowiedz waść przynajmniej!

— Otóż, — rozpoczął pan Ignacy, stając w porośku, — hetman dowiedział się, że Zborowscy nie radzi z tego, że prymas wyrzekł się już ducha złego i wszystkich spraw jego zupełnie...

— No, no, tylko waść daj pokój owym żartom, — prymas jest głową kościoła, powtarzam.

— Już nie będę, panie starosto, — rzekł pan Ignacy z miną skruszoną. — Prymas jest głową kościoła, wiem o tem, a jeśli trzymał z heretykami, to dlatego pewnie, żeby ich tem snadniej nawrócić na naszą wiarę. I pan Spytek Jordan musiał w tymże samym celu przejść na stronę Zborowskich...

— Jesteś waść niepoprawnym, — przerwał pan Drohojowski zniecierpliwiony. Gdy tak dalej będzie to wyjdę!...

— Cóż? Albo mi się znów co wymknęło? — zapytał ze zdziwieniem pan Ignacy. — Doprawdy, że nie chciałem nic takiego powiedzieć! No, ale będę dalej opowiadał: otóż pan hetman, dowiedziawszy się, że Zborowscy chcą tej nocy napad zbrojny urządzić na klasztor bernardyński, by wykraść prymasa, postanowił zrobić im pospół i wezwawszy starostę sandomierskiego nakazał mu, by im odkradł prymasa, jak to bywa praktykowanym, gdy dwóch ubiega się o jedną bogdanę. Rozumie się, że ja także należę do onej wyprawy, bo gdzie można kark skrócić lub się zabawić, tam bezemnie się nie obejdzie...

— Oczywiście, dawno już o tem wiedziałem, — mruknął pan Drohojowski.

— I pan hetman także wie o tem; niedawno właśnie, po onej wielkiej zwadzie ze Zborowczykami, kiedy to dziewięciu szlachty padło, rzekł mi: Że też waść zawsze lubisz się wmieszać tam, gdzie guza oberwać można.

— Szkoda że waści nie natarł dobrze uszu za to, że się mieszasz w nieswoje rzeczy, — rzekł pan Drohojowski.

— Taka to sprawiedliwość, — westchnął pan Ignacy. — Wszyscy mnie lają, jakby to moja wina była, że we mnie siedzi coś takiego; co mi na chwilę nie daje zostawać spokojnie na miejscu. Jużbym nieraz tego dyabła chciał uciszyć, coż, kiedy nie mogę.

— To nie dyabeł — to pusta głowa, — mruknął pan Drohojowski.

— A wy panie starosto, wciąż coś macie do mnie. Już i tak narobiliście mi kłopotu gdyście napisali o moim pojedynku z wojewodzie. Ledwie się chanem krymskim wykręcił.

— A teraz, myślisz waść, że cię bardzo chwalebę przed ojcem? Mówiłem mu już o różnych twoich sprawkach, — bądź spokojny.

— A wiem, wiem, domyśliłem się komu mam podziękować za to, że mi ojciec wczoraj tyle nakładł w uszy. Dotąd jeszcze głowa mi trzeszczy, — odparł pan Ignacy napół do siebie. — No, ale ja tu gadam, kiedy pora iść, Jacuś, pójdziesz z nami?

— Pójdę, — odrzekł spokojnie pan Jacenty podnosząc się.

Skoro noc zapadła, poczt starosty sandomierskiego wyruszył w największej ciszy na zamierzoną wyprawę. Ciemno było nadzwyczaj, oddział posuwał się ostrożnie po uśpionych ulicach, aby nie być dostrzeżonym. Wiatr silny dął z zachodu, pędząc przed sobą gromady chmur, które chwilami tylko się rozdzielały, by przepuścić promień księżyca. Jeźdźcy nie zaczęli przez nikogo, dotarli do Krakowskiego-Przedmieścia i mury klasztoru bernardyńskiego zarysowały się przed nimi w ciemności. Stanęli przed bramą i pan Pękosławski zadzwonił, by mu otworzono. Brat furtyan przerażony wyjrzał przez okienko.

— Przybywamy z pilną sprawą od hetmana, do księdza prymasa, — rzekł pan Pękosławski.

Natychmiast brama się otworzyła, wpuszczając starostę do wnętrza, podczas gdy reszta jeźdźców została na dworze i opasała dokoła klasztor.

Tymczasem, po drugiej stronie klasztoru, po czarnych falach Wisły płynęła wielka łódź, popychana kilkunastu parami wiosł.

Nagle czarna sylwetka jeźdźcy ukazała się na brzegu:

— Hej, wy! — zawołał, machając ręką: — Zwracajcie do obozu, — a żywo! Zamojszczyki już są w klasztorze!

Grom przekleństw w najrozmaitszych językach odpowiedział mu z łodzi — i natychmiast wiosła zapluskwały w odwrotnym kierunku.

Jednocześnie starosta sandomierski wchodził do celi, zamieszkiwanej przez prymasa. Ten odmawiał jeszcze ostatnie pacierze kapłańskie, gdy w drzwiach otwartych stanął Pękosławski. Prymas z początku zląkł się, ujrzawszy nagle w swej celi, o północy człowieka zbrojnego; lecz poznawszy starostę, domyślił się, że przybywa od hetmana i skinąwszy tylko głową kończył dalej; chodząc, pacierze. Pękosławski stał jakiś czas, czekając, atoli widząc, że się to może przeciągnąć a tymczasem Zborowczyki nadejdą, rzekł z największym szacunkiem:

— Racście darować, Przewielebność Wasza iż modły wam przerwać jestem zmuszony. Ale sprawa jest importans.

— Co się stało? — spytał prymas. — Czy od hetmana przychodzicie?

— Od niego samego, Przewielebność Wasza.

— A z czemże przybywacie? Mówcie, mości starosto, bo czas jest późny i chciałbym leż na spoczynek.

— Oto mamy wykraść Przewielebność Waszą.

Prymas podniósł dumnie głowę, mniemając, że to jest nowa jakaś zniewaga ze strony Zborowskich.

— Mości starosto, — rzekł z godnością, — nie wiedziałem żeście przeszli na stronę Zborowskich, inaczej nie byłbym z wami gadał. A więc targnijcie się na głowę kościoła, na starca siwego, jeśli wam starczy śmiałości; nie będę się bronił. Wołajcie swoich siepaczy!

— Przewielebność Wasza, racście mię wysłuchać, — rzekł starosta. — Wcale nie w zamiarze obrażenia was, a raczej dla uchronienia od zniewagi, przygotowanej przez Zborowskich, hetman przysłał nas, byśmy Przewielebność Waszą przewieźli do zamku, gdzie sam już czeka wraz z królową.

I opowiedział w krótkich słowach o zamiarze Zborowskich.

Prymas aż ręce złożył, słuchając go.

— Racście więc Przewielebność Wasza, wsiaść do przygotowanej dla was karocy, wkrótce będziecie na zamku, — rzekł Pękosławski z ukłonem.

— Dobrze, — rzekł prymas. — Jadę z wami. Starosta sam mu podał zwierzechnie, ciepłe szaty i sprowadził troskliwie ze schodów, przed którymi czekała już wygodna karoca, otoczona zbrojnymi.

Pękosławski wsadził do niej prymasa i zatrzasnąwszy drzwiczki, krzyknął, wsiadając na koń: „A teraz do zamku!“

Konie ruszyły kłusem i wkrótce znaleźli się przed zamkiem.

— Za kimże u licha oglądasz się Ignacy? — pytał tymczasem pan Jacenty. — Czy chciałbyś może zawrócić do klasztoru?

— Co za szkoda, żeśmy ich tam nie zastali, — dopiero możnaby ich natłuc! — rzekł pan Ignacy jakby do siebie.

Na dziedzińcu zamkowym czekał na prymasa liczny poczet służby i dworzan królewskich, a sam hetman stał w progu sali, gdzie królowa Anna powitała uprzejmie dostojnego gościa.

— Wybaczcie mi, Przewielebność Wasza, że w was wzięli w niewolę, — rzekł Zamojski z uśmiechem. — Tutaj jednak, na zamku, będzie wam wygodniej i bezpieczniej.

(Dalszy ciąg nastąpi)

Kwestya tanich mieszkań

przez E. S.

Brak mieszkań i drogość ich dla klas niezamożnych jest faktem, któremu chyba nikt w Warszawie, patrzący uważnie na sprawy najbliższej nas obchodzące, zaprzeczyć nie będzie w stanie.

Wiemy z jednej strony, że spekulanci i przedsiębiorcy na domach przeznaczonych dla ludzi biednych robią świetne interesa, albowiem ciągną zyski bardzo poważne 15 do 25% rocznie, a przytem nie troszczą się bynajmniej o dostarczenie swoim lokatorom mieszkań czystych, zdrowych i odpowiadających wymaganiom.

Znając dobrze stosunki mieszkaniowe Warszawy i powołując się na poważną pracę Adolfa Suligowskiego p. t. „Kwestya mieszkań 1889“, oraz na artykuły Dr. Tchórznińskiego pomieszczone bądź w „Zdrowiu“, bądź w dziennikach, poważnie zajmujących się sprawą mieszkań, dojdę możemy do następujących 3 postulatów:

1) im gorsze mieszkanie tem więcej mieści się w niem lokatorów;

2) jeden metr sześcienny najgorszego mieszkania dużo drożej się opłaca, aniżeli takąż sama przestrzeń w mieszkaniach dobrych a nawet najwykwintniejszych;

3) im mniejszy jest dochód, tem wyżej wypada opłata mieszkaniowa.

W tem miejscu mógłby nas spotkać zarzut, że ożywiony ruch budowlany w Warszawie, trwający dotąd, wpłynąć musiał dodatnio w 2 kierunkach, albowiem zwiększyła się ilość mieszkań liczbowo, a powtórę jakoś przybywających mieszkań stała się lepszą.

Zapewne. Lecz przedsiębiorcy nowo budujących się domów liczą głównie na klasę zamożną lub średnio zamożną.

Dla klas biednych czyniło się dotąd tak mało, że istotnie brak inicjatywy i działalności ludzi przedsiębiorczych, których przecież nie brak w naszym społeczeństwie, zastanowić musi każdego.

Pan Suligowski wyraża to swoje zdziwienie w sposób następujący:

„Bieda się rozpanosza, tysiące ludzi umiera przedwczesną śmiercią, choroby się gnieźdzą, niebezpieczeństwa moralne rosną, fakty codzienne na każdym kroku o tem przekonywają, a my

przechodzimy nad zjawiskami do porządku dziennego. Dowodów zupełnego zapoznania sprawy nie potrzebowałbym szukać daleko. Dość przytoczyć okres między 1870 a 1880 rokiem; epoka niesłychanego wstrząśnienia cen na mieszkaniach, nie wywołała ani w literaturze, ani w życiu dyskusji i ruchu, pozostawiając nas dalej w błogiem uśpieniu. Szerokie rozprawy w literaturach innych narodów również nie znalazły u nas odgłosu, odbiły się od nas jakby bez echa.

Słowa te wyrzeczone przed 10 mniej więcej laty zawierały gorzką prawdę. W chwili obecnej jedna zainteresowanie się tą sprawą wzrosło, a fundacja Wawelberga, o której nieco później krótko pomówić pragniemy, sprowadza rzecz na tor praktyczny.

Pan Wawelberg, filantrop na modłę angielską, przystępując do urzeczywistnienia zamiaru ulżenia biednym robotnikom, zbadał instytucje tego rodzaju, jak np. fundacje angielskie Peabody i inne.

Na wzór tej instytucji pragnie p. W. pobudować domy dla klas niezamożnych. Jako typ mieszkania przyjęto pokój i kuchnię, przy niej komórkę, waterklozet, piwniczkę i górę. Ofiarodawca zastrzegł, że z sumy 300.000 rubli, na ten cel już złożonej, on sam żadnych odsetek pobierać nie ma zamiaru, liczy jednak, że zarząd instytucji — do której powołał sporą liczbę obywateli, prawników, higienistów i techników — przez racjonalne kierowanie interesami otrzyma netto 4% rocznie, a fundusz ten stanowiący 12.000 rs. rocznie, posłuży w dalszym ciągu do budowy nowych domów dla klas niezamożnych.

Zwrócić musimy w tym punkcie uwagę na tę okoliczność, że około 160 rodzin znajdzie w tej pierwszej grupie domów pomieszczenie i ci lokatorzy zaoszczędzą niewątpliwie poważny grosz na komornem, opłacając ze swej kieszeni zysk właścicielowi domu zamiast 20% netto nie więcej nad 4% rocznie.

Gdyby mieszkania nowe były tańsze od dotychczasowych o 15%, to cena ich zamiast 10 rs. miesięcznie, wyniesie 8 rs. 50 k. Lecz mieszkanko nowe będzie miało sporo zalet, przede wszystkim pod względem zdrowotnym. Pranie bielizny ma się odbywać nie w mieszkaniu, lecz w pralni ogólnej — do której Zarząd tanich mieszkań dostarczy oprócz wody gorącej przyborów niezbędnych do ogólnego użytku.

Już teraz postanowiono, że artykuły żywności pierwszorzędного znaczenia, jak np. kartofle, Zarząd zakupi w znacznych partjach i po cenie kosztu odstąpi je odbiorcom, rozkładając wypłaty na raty tygodniowe.

Przed zimą Zarząd zakupi jednorazowo taką ilość węgla, któraby na 6 miesięcy zimowych najzupełniej wystarczyć mogła; — z tego zapasu wydzieloną zostanie każdemu z lokatorów tyle węgla, ile zażąda, po cenie kosztu własnego i również na wypłaty tygodniowe. Są to ulgi znaczne, szczególnie dla tych, którzy zimową porą zarabiają mało a wydatki opłacić muszą stosunkowo większe, aniżeli letnią porą.

Sam Zarząd podobnej instytucji związany jest z kłopotami najróżnorodniejszymi.

Przedewszystkiem bacznym dozorem nad czystością i porządkiem wewnątrz domu i wewnątrz mieszkań. Konserwacja budowli i urządzeń mechanicznych, zawieranie umów z lokatorami, pobór komornego prawdopodobnie raz na tydzień, zakup kartofli i węgla, rozdział tychże i regulacja rachunków za należność. Gromadzenie kapitałów, kupno nowych placów i budowa na nich nowych domów dla robotników.

Otóż w tej kłopotliwej czynności rozlicza się na pomoc ludzi dobrej woli z jednej, a przedstawicieli lokatorów z drugiej strony. Instytucja pracująca łącznie z przedstawicielami lokatorów, mogąca w ten sposób najlepiej uczynić zadość słusznym wymaganiom, posiada niewątpliwie wszelką rację bytu. Przedstawiciel lokatorów, przez nich wybrany, a więc delegat ich życzeń i zaufania będzie mógł prędzej i lepiej osądzić, kto utrzymuje swe mieszkanko w porządku,

a kto nie czyni zadość regulaminowi wewnętrznemu.

Dla tych lokatorów, którzy wykazują szczególną troskliwość pod względem czystości i porządku, przewidują się specjalne nagrody bądź pieniężne, bądź też w dostarczeniu węgla bezpłatnego. Sposób ten, zachęcający do czystości powinienby dać wyniki pomyślne i dla obu stron zainteresowanych pożądanę.

Zatrzymaliśmy się nieco dłużej nad zasadami fundacji Wawelberga, która z wiosną r. b. przejdzie z dyskusji akademickiej w czyn. Rzucimy więc, niezależnie od tej sprawy, opartej na obywatelskiej hojności jednostki, promień światła na działalność zbiorową, której genezy szukać należy w Warszawskiej Sekcji technicznej Towarzystwa popierania przemysłu i handlu. Budowniczy Rogójski, w szeregu bardzo sumiennie opracowanych odczytów, objaśnionych tablicami rysunkowymi, przyszedł do wniosku, że przedsiębiorstwo zakreślone na szeroką skalę i dążące do budowy domów dla robotników w Warszawie, może liczyć tem bardziej na umiarkowane oprocentowanie 5 do 6% rocznie od włożonego kapitału, że Warszawa znakomicie się rozwija i że ustawiczny brak odpowiednich mieszkań odbiera wszelką obawę ryzyka dla kapitałów w podobnym przedsiębiorstwie zaangażowanych. W obecnej chwili prawnicy układają warunki, na zasadzie których towarzystwo akcyjne tego rodzaju powstaćby mogło, a myśli zacnej, popieranej z początku przez liczne grono techników i przemysłowców trudno nie przyklasnąć z całej duszy.

Zbiorowemi siłami dużo jeszcze w naszych warunkach zrobić możemy, byleby tylko dobra sprawa znalazła odpowiednich wykonawców.

PO BŁĘKITNYCH MORZACH.

przez

Stanisława Maszewskiego.

Świat się rozwija w przeciwnościach — i zima konając, budzi tęsknotę do ciepła, do słońca. Zmrożona dusza ludzka taje nadzieją bogatszych i silniejszych wrażeń; uśpiona cichą jednostajną pracą pośród ukwieconych lodem okien w długie wieczory i noce, tylko czasem się ocknie, by z trzasku ognia snuć marzenia o szerszych przestrzeniach, o wielkich wodach i górach słonecznych.

Luty dożywa ostatnich już godzin. Jaśniejszy promień słońca nieci blaski marzeń coraz częstszych, bujniejszych; jakiś niepokój uciska serce, znużenie obezwładnia myśl — już dość zima, dość jednostajności, chmur, gwiazd śnieżnych — zmiany! zmiany — byle prędzej, niechby i zaraz...

I oto wcielają się ulotne marzenia — dzieci tęsknoty.

Nad Adryatykiem w Marcu.

Wgłębi morza dzwigają się fale zmienne, wiecznie ruchliwe. Lekki powiew niesie od nich ciepły pocałunek wiosny, z rozrzuconych ogrodów zabiera woń kwitnących migdałów. Bezmiernie wody, objęte wysepki brzegami, uśmiechają się tęczę barwną, snopami iskier słonecznych, i ślą ludzkie słowa obietnic rozkoszy. Uniosą, uniosą daleko, na południe, gdzie wiecznie zielono, błękitnie, gdzie pomarańcze i palmy...

Statek leży nieruchomo u wybrzeża Fiume. Wody zatoki spokojne, słońce zachodzi jasno, pogodnie. Nad ciemnym garbem wyspy Cherso zebrala się gromadka obłoków, budując ruiny

zameczysk o różowych brzegach i szczerbach, a na skraju wspaniały rydwan, o złożonych kołach, z dwoma ognistymi rumakami; — pędzą rozsłalać... Dzień kona pięknie.

Na statku cisza; majtkowie w zmroku snują się jak cienie, składają liny w wielkie kręgi, wciągają latarnie na maszty — to ostatnie przygotowania przed drogą daleką. Z głębi dochodzi warczenie maszyny — okręt cały drży, jak człowiek niecierpliwie rwący się w dal.

Ściemnia się. Morze zaciela barwa ciemnego granatu, na pogłębionem niebie zapalają się gwiazdy, jakieś ruchliwsze i jaskrawsze niż na północy. W porcie ruch ustaje. Czasem jeszcze przesunie się robotnik, wysoki czarny dalmatyńczyk, z workiem na plecach, czasem łódka przemknie się cicho po wodzie. Okręty w przystani, a domy Rijeky na wzgórzach zapłonęły wieńcem bladych światła.

Statek się zachwiał. Odwiązano liny, które nas z ziemią łączyły, maszyna wciągnęła olbrzymie kotwice u przodu. Donośny gwizd rozbija się echem wśród skał, — zwolna, nieznacznie ruszamy, światła wybrzeża cofają się, maleją, coraz słabsze, omdlałe — wreszcie nikną. Tylko wielka latarnia u wrót portu rozbłysła barwnym światłem i gąśnie naprzemian.

Ciemność głęboka dokoła; księżycy niema, tylko gwiazdy lśnią złotym piaskiem rozprószone, nie zwyciężając mroków. Szybkość ruchu wzrasta: u boków okrętu pluszczą tajemniczo roztrącane fale, drgając świetlnymi płatkami.

Otula nas głęboka cisza i noc; unosimy się w jakiejś przestrzeni czarnej, bez dna, bez miary i krańca; myśl ulata w dal i wraca znużona, bo nigdzie spocząć nie mogła, dopiero w górze pośród gwiazd zawisa. Spokojne, gdzieś wysoko utkwione, w duszach nawiązują struny swych promieni i stroją, by grały rojenia o tem, co piękne, a jeszcze nieznane.

Bari.

Przecudnie wschodzi słońce na morzu! Gdy o chłodzie brzasku gwiazdy na niebie pogasną, na niezmierzonych wodach rozlewa się jasność matowa — już dzień się rodzi, chociaż jego gwiazdy, promiennego słońca niema — Helios jeszcze drzemie w kryształowej toni wód. Zwolna u wschodniego kręgu horyzontu zabarwia się niebo, jak pomarańczowa tkanina, zawieszona w ciemnej głębi sklepienia; blednie od chłodnego powiewu, wchłania znowu lekki pyłek różowy, gęstnieje, stopniowo nasycając się czerwienią coraz jaskrawszą. Chwila zachwyty upływa; zasłona blednie powtórnie, przetykając nieci różane i złote — nagle u bladej krawędzi morza wychyla się ledwie dostrzegalny rąbek żółty, rośnie w sierp, w półkrąg, w tarczę wielką, jasną, jakby poplamioną, która ludzako chwije się w przestrzeni — to słońce! Oczarowanego nie razi oka, nie rzuca oślepiających promieni — Helios jeszcze nie naciąga łuku. Złota bania chwiejnie unosi się coraz wyżej, po nad opuszczone, chłodne łoża wód, ku lekkim barwnym obłoczkom. Cięciwa z ręki puszczone — i nagle, jak strzała śmiertelna, godzi w oko promień lśniący; złoci ruchliwe fale w około, srebrzy śnieżne płatki piany gęsto rozsypane, rozkosznie oświeca statek samotny, który chwije się na niezmierzonym płynie szafirowym.

*

*

*

Ranek śliczny, jasny — oko swobodnie może się zapuszczać w dalekie, czyste linie widnokręgu. Tam na południu rzuca cień jakaś wązka, długa wstęga ziemi, — to Apulia. Imię marzone nieraz w rozmyślaniach o krajach południa, niegdyś część Wielkiej Grecji, gdzie o żyzną, urodzajną ziemię walczyło tyle rozmaitych ludów. Tam kwitły greckie kolonie, zdobywali je rzymianie, po nich przyszli goci, saraceni, normandowie.

Zbliżamy się. Szeroko rozsnute na widnokręgu wybrzeża ciemnieją gęstwą oliwnych gajów, zielenią się łanami pól i ogrodami. Na tej

zieleni lśnią przezrystą białą miasteczka i wioski rozsiane.

Wpływamy do portu Monopoli. Zda się, że to nie włoska ziemia, ale Wschód daleki, albo Tunis afrykański — takie domy płaskie, a w słońcu białością oślepiające. W pośrodku, zbite w jedną grupę, po nad którą strzela szara wieża i kopuła kościoła, dalej są rozproszone swobodnie po ogrodach, gdzie żółte wiszą pomarańcze, lub się wychyla palma smukła, u góry puszysta. Palma! — czarowne imię — pierwsza zwiastunka południa.

Na statku hałas; turkoczą przeraźliwie windy, z płuskiem zapadają w głębie ciężkie kotwice, ruch maszyny ustaje; leżymy obok murowanego wybrzeża. Gromadka łodzi się zbliża, wiozą olbrzymie beczki z oliwą. Majtkowie spuszcza ją schodki do poziomu wody, wsiadamy na łódkę, dwaj opaleni, o wesołych twarzach, rybacy wiosłują rażno; po krótkiej chwili jesteśmy na kamiennych wschodach wybrzeża, gdzie nas podziwia gromadka mieszkańców. Przybycie wielkiego okrętu urozmaica jednostajność ich życia.

Na małym placu wielkie stragany; mnóstwo ryb, polipów, cytryn, pomarańcz i jarzyn, często nieznanych z imienia i smaku. Ludek miast stoi gromadkami, wykrzykuje, rozmawia, kupuje — nagle, zdziwiony widokiem niespodzianym, patrzy na cudzoziemców spokojnie. Nie uległ jeszcze obcym wpływom, zwykle ujemnym, nie narzuca się natrętnie z usługami, nie goni ślepo za pieniędzmi. Twarze sympatyczne, często ładne, opalone, o czarnych pościwionych oczach, dzieci bardzo miłe i słiczne. Ruchy umiarkowane, chociaż żywe: trudno uwierzyć, że już się chodzi pośród gorących mieszkańców południa.

Ulice czyste, poza wysokimi murami zielenią się liczne ogrody. Nigdzie śladu zimy — wiosna. Na zachodnim skraju miasta pociąga oko piętrowy pałac czerwony z białymi okiennicami. Przez wysoką otwartą bramę widać klomby z kwiatami. Staruszka rozwiesza bieliznę w słońcu i zaprasza, by wejść do ogrodu. Szerokie ścieżki wysadzone rzędami drzew, tu owdzie postrzyżone tuje. Pod zielenią na słupkach stoją biusty gipsowe, po środku maleńka sadzawka, wyłożona kamieniem, potworkiem tryskającym wodą; po nim wije się bluszcz zielony. Dalej wiodą kolumnady z pnącym się winogrodem, w lecie zawisną na nich złote grona w gęstwie liści. Pod murem cały gaj drzew z dużymi owocami złocistymi — to pomarańczęczarna.

Ogrody włoskie — czyż to nie spuścizna po starożytnych? Rzymskie wirydarze należały organicznie do całości mieszkania; w nich drzewa i kwiaty były pięknym tłem dla twórców sztuki: biustów i posągów.

Gdy zamknięte życie domowe rozlało się na zewnątrz, ogrody też się wyzwoliły, ale do dziś zachowują dawne piętno — przyroda musi być posłuszną sztuce.

Droga, opuściwszy miasto, wije się po wzgórzach falistych, wśród zbożnych łąk i gajów oliwnych; rzadka zabieli się domostwo wieśniaka o płaskim dachu, z tarasem lub kolumnami, które oplata winograd, tu i owdzie strzela wysoko pinia, jak ciemno-zielony parasol; wdali na wzgórzach ukazuje się wioska. Droga toczy się wysoki wóz na dwu wielkich kołach, ciągniony przez muła lub osła, cały wymalowany scenami z biblii i żywotów świętych. — Zbliża się zebrać. Wielki spiczasty kapelusz rzuca cień na twarz ogorzałą, z brodą, przez ramię zarzucony płaszcz, zszyty z różnobarwnych kawałków, marszczy się fałdami do kolan. Zamyslił się, pochylił głowę i kroczy z godnością.

Oto krajobraz w Apulii.

*

*

*

Słońce ubiegło już połowę drogi na niebie. Statek płynie szybko po spokojnych błękitnych wodach ku nowej przystani.

Nad obszerną zatoką, utworzoną sztucznie przez dwie murowane groble, daleko w morze

puszczone, spoczywa stare Bari, pamiętne w dziejach Polski.

Od XIV w. jest stolicą samodzielnego księstwa w Apulii pod rządami rodziny Sforza. Ostatnią księżniczką tego domu była Bona, żona króla Zygmunta. Po śmierci męża, opuściwszy Polskę, prwróciła do swego księstwa i zmarła w Bari 1558 r. Wtedy księstwo przeszło w posiadanie Neapolu, a zwłoki ostatniej księżnej pochowano w kościele św. Mikołaja.

Kościół Ś. Nicola, wzniesiono w XI w. dla zwłok świętego, przywiezionych z Myzy w Lycyi. Wnętrze poważne. Bazylika z płaskim sklepieniem o trzech nawach. Wielka wspiera się na dwu pochodach kolumn, ściany wiążą łuki, swobodnie sklepienie.

W presbiterium ołtarz, jak rotunda na słupkach dachem przysłonięta, stoi w środku. Po za ołtarzem na tylnym ścianie nawy opiera się wielki grobowiec, wzniesiony w lat 35 po zgonie królowej z polecenia Anny Jagiellonki.

Kamienne wzniesienie dźwiga wysoko leżący sarkofag, z czarnego marmuru wykuty. Na nim klęczy królowa w biały marmur wcielona. W szacie powłóczystej, kolana wsparte na poduszce, ręce złożone do modlitwy; na głowie chusta gładka, jak zakonniccy, spływa ku ramionom. Twarz mówi o jesieni życia; nos pociągły, nieco ostro zakończony, we wzroku nie ma prośby, a w zaciśniętych wargach ustach siła woli, stanowczość, prawie upór. Zda się, artysta dobrze pojął ducha Bony, owiał go tylko idealnym technieniem.

Przy sarkofagu, na obu brzegach podstawy lekko usiadły dwie białe postacie niewieście, z koronami na skroni, w pół obnażone; w rękach dzierżą herbowe tarcze — na prawej orzeł polski wyrity.

Grobowiec dopełniają z obu stron nisze, ciemnymi obramowane kolumnami — w nich marmurowe postacie dwóch biskupów. — W okół na ścianie portrety al fresco: Zygmunt III Waza, Anna Jagiellonka, Jan Kaźmierz, Marya Gonzaga. Po stronach św. Stanisław i jego zabicie w kościele; wyżej św. Kazimierz, królowa Jadwiga, apostołowie Piotr i Paweł.

Ponad klęczącą Boną bieli się wyrzeźbione Zmartwychwstanie.

W prezbiterium cień i cisza; dusze zapatrzonych w ten piękny, poważny grobowiec ulatują w przeszłość szczęśliwszą dziejów naszych. Na dalekiej, obcej ziemi marmur głosi: „Bonie, królowej Polski, żonie najmiłszej Zygmunta, króla Polski, Wielkiego księcia Litwy, Prus, Mazowsza i Żmudzi... Anna Jagiellonka, królowa Polski, żona Stefana I... ten pomnik stawiała...“

*

*

*

Zmrok wieczorny otula miasto i przystań. Setki skrzyń i worów zniknęło w głębiach okrętu, windy ucichły, a maszyna już sapie. Płyniemy zwolna, żegnając wzrokiem Bari. Miłe ztąd unosimy wrażenia i wspomnienia.

Miasto dość wielkie, przez piękną, szeroką ulicę Corso dzieli się na dwie odrębne charakterem części. U brzegów morza na wysuniętym półwyspie, przylutulo się stare Bari, dawne Barium rzymskie. Wąskie ulice, niewielkie place obok kościołów poważnych. Ruch tam słaby, spokój, w drzwiach domostw siedzą rzemieślnicy pracując, bawią się opalone dzieci. Na zachód od Corso leży odmierzona szachownica nowych ulic, ruchliwych, z jasno malowanymi domami, balkony obiegają całe piętra.

Wypływamy z portu. W mroku pięknego wieczora toną domy i wieże, tylko pośrodku nad wodą czerni się zbity masa szerokich murów, to stary Castel z XII wieku, dziś więzienie. Ponad znikającym w cieniu Bari ostatnie krwawe promienie dawno zapadłego słońca rzucają czerwone smugi.

Okręt zawraca ku południowi. Tam noc już mroki swe rozpostarła na ponurych falach morza.

Gdzie wody się z niebem zlewają — nie widać...
(Dalszy ciąg nastąpi),

RUCH MUZYCZNY.

Pora karnawałowa nie przeszkadzała produkcji artystycznej, w ciągu ubiegłych kilku tygodni. Ludzie się bawili, słuchając skocznych dźwięków w nocy, a przedtem — wieczorami — poili się poważnymi melodiami, płynącymi z estrad i sceny, — jednym słowem — w zgodzie żyły z sobą dwie siostrzyce, muzy: tańca i muzyki, dostarczając nam przyjemnych wrażeń. Należy im się za to gorąca od nas podzięką...

W operze naszej wszechwładnie zapanowała „Goplana“ Żeleńskiego, z którym dziś nikt w Warszawie rywalizować nie może. Dwadzieścia razy Teatr Wielki był wypełniony publicznością na świetnym tem dziele twórczości oryginalnej; słuchacze z zapalem przyjmują ciągle tę piękną operę, osnutą na nieśmiertelnej fantazji Słowackiego. Stwierdzono, iż „Goplana“ ściągnęła do teatru tłumy słuchaczy, którzy rzadko albo nigdy nawet nie bywają na operze; sława opery Żeleńskiego doszła do najdalszych stron miasta, przedmieść, okolic podmiejskich i całej prowincji; zewsząd zjeżdżają się ludzie pragnący ujrzeć Kirkora, Balladynę, Alinę i Goplanę — oraz napoić się czarem melodyi, przez kompozytora z pieśni ludowej wysnutych. W teatrze też rojno i gwarno zawsze, oklasków huk i wywoływań gorących — moc.

Powodzenie to wyjątkowe istotnie, a znamienne bardzo, z „Goplaną“ dzieli „Halka“, witana zawsze z entuzjazmem. Sukces arcydzieła Moniuszki, ustawicznie stwierdzany w Warszawie, towarzyszył „Halce“ w tych dniach w Pradze, gdzie wystawiono ją wobec tłumów publiczności czeskiej, witającej Jontka i Halkę z zapalem równie gorącym nad Wełtawą, jaki się odczuwa w tej mierze nad Wisłą.

Jednocześnie dochodzą wieści z nad Pełtwi o powodzeniu, jakie sobie tam zdobyła najnowsza opera Zygmunta Noskowskiego: „Livia Quintilla.“ Dzieło to będziemy mieli sposobność ocenić latem, kiedy do nas przyjedzie opera lwowska; tymczasem — na wiarę korespondentów lwowskich — zapisujemy silne wrażenie, jakie dzieło twórcy „Morskiego Oka“ na wszystkich wywarło.

Gdy kompozytorowie nasi: Żeleński i Noskowski tak świetnie rozpoczęli rok bieżący — pierwszy „Goplaną“ w Warszawie, drugi „Livią“ we Lwowie — nasi znakomici artyści niosą sławę sztuki polskiej zagranicę. Przed paru tygodniami bawił, przejazdem, w mieście naszym król fortepianu, młodziutki a potężny wirtuoz, Józef Hofman. Mielśmy go sposobność słyszeć na prywatnym zebraniu u redaktora „Echa Muzycznego“ p. Aleksandra Rajchmana. Znany mity artysta zmęźniał i spotęźniał duchowo; grał cały szereg różnych utworów, entuzjazmując słuchaczy; między innymi wykonał własną „Legendę“, napisaną na lewą rękę — rzecz wspólną pod każdym względem. P. Hofman zawarł obecnie umowę z Towarzystwem amerykańskim Thomasa i w d. 1-ym Marca rozpoczyna w New Yorku szereg koncertów, których da w Ameryce trzydzieści; słynny artysta otrzyma za nie 95,000 marek. Józef Hofman nie występował na drugiej półkuli od lat dwunastu, czyli odkąd był „cudownym dzieckiem.“ Wtedy to pewien bogacz amerykański, porwany geniuszem chłopca, zobowiązał się ofiarować mu kilkadziesiąt tysięcy dolarów pod warunkiem, iż przez dziewięć lat nie będzie występował publicznie; stało się według woli zacnego filantropa — i dziś dawny Józio Hofman, przyniósłszy swemu dobroczyńcy pociechę, jedzie do Ameryki, aby opiekunowi pokazać, jak z pomocy jego skorzyszczać potrafił.

Na estradzie w Towarzystwie muzycznym wystąpił przed tygodniem młody pianista, p. Levinne, który przed dwoma laty zdobył pierwszą nagrodę na konkursie międzynarodowym im. Rubinsteina w Berlinie. Zajęcie tym występem



było nader żywe, zwłaszcza sfery, uprawiające specjalnie grę fortepianową, nieomieszkały ze sposobności usłyszenia młodego wirtuoza skorzystać. Gra jego celuje przede wszystkim nieporównaną techniką w rzeczach tego rodzaju, jak „Toccata“ Schumanna, utwory Liszta, Rubinstein, Tausiga; jest to technika posunięta w tym kierunku do doskonałości i nie jej zarzucić nie można. Technika ta opiera się na świetnym wyrobieniu palców i przedręczu; pozwala to wirtuozowi subtelizować i wykończyć szczegóły z precyzją zdumiewającą.

To opanowanie bezwzględne techniki dało możność p. Levinne'owi wybrać do popisu jedno z najtrudniejszych dzieł fortepianowych, sonatę Beethowena op. 106. Nazwano ją „Riesen-Sonate“, t. j. sonatą olbrzymów; tylko olbrzym techniki może się na wykonanie tej kompozycji porwać. Interpretacja była wyborna; artysta wyzyskał tu wszystkie efekty techniczne ze skutkiem jak najlepszym. Duchowo jednak p. Levinne jeszcze się nie rozwinął. Jego wykonanie Chopina nie przedstawiało żadnego interesu głębszego; poeta fortepianu w grze p. Levinne zgasł zupełnie, a „Etuda“ i „Polonez“ przeszły bez wrażenia. Seksty za to w „Toccacio“, pasaż i tryle w Tausigu, poczucie rytmu w „Marszu“ Schuberta, niepospolite gamy chromatyczne w „Loreley“ Liszta oraz w tegoż etudzie, najtrudniejsze staccata i akordy—wszystko to imponowało dokładnością i brawurą pierwszorzędnego technika—mistrza.

W tych czasach właśnie oklaskiwaliśmy inną artystkę, która łączy w sobie technikę i poezję interpretacji w całość przedziwną doskonałości. Tą artystką jest śpiewaczka estradowa, panna Gordigiani, kilkakrotnie u nas dająca się słyszeć publicznie i prywatnie. Jest to głos, słusznie przez jednego z krytyków porównany do instrumentu *viola d'amore*. Niewielkiej skali, brzmi sympatycznie i miękko. Tym głosem p. Gordigiani włada po mistrzowsku. Artystka jest bardzo muzykalna i wychowana widocznie w najczystszej atmosferze muzycznej: dziad jej, Ludwik Gordigiani, był znanym kompozytorem włoskim. Z głosem i umiejętnością śpiewu idzie tu w parze uczucie i smak nieposzlakowany. Interpretacja panny Gordigiani jest wytworną, rzekłbym—arystokratyczną w dystynkcyi i subtelności. Artystka każdy utwór wykonaniem swoim rzeźbi. Na koncertach u nas śpiewała: Rossiniego, Faure'a, Bizeta, Ludwika Gordigiani'ego, Szumanna, Schuberta, Beethovena, nawet Moniuszkę. „Kozak“ w tłumaczeniu francuzkiem i w interpretacji artystki włoskiej choć nie miał charakteru ukraińskiego, czarował poezją i wdziękiem. Pewnego razu—na prywatnym zebraniu—„Kozaka“ śpiewał oprócz panny Gordigiani—Myszuga; były to dwie przedziwne a odrębne interpretacje.

Produkcyje wokalne p. Gordigiani, to miniaturowe, wykonane przez artystkę nadzwyczaj utalentowaną i na piękno wrażliwą; można zaś do tego określenia dodać, iż w tych miniaturach zamyka się zawsze głębia wyrazu psychologicznego, wypowiadającego dany nastrój duszy.

Znakomitą artystkę przyjmowano u nas z zapalem, który wzniecać zwykli tylko pierwszorzędni mistrzowie sztuki.

Kiedy mówimy już o śpiewie, należy zaznaczyć powodzenie, jakie w operze warszawskiej zdobyła utalentowana artystka, p. Frenkiel-Niwińska, siostra pierwszego komika naszej sceny, p. Mieczysława Frenkla. Artystka zadebiutowała w partyi Amneris w „Aidzie“ i wywiązała się z zadania wybornie, zarówno pod względem wokalem, jak i aktorskim. P. Frenklówna ślicznie pozuje i wygląda na scenie bardzo estetycznie; głos, *mezzo-sopran*, dzwiczny i o pełnym brzmieniu, sympatycznie rozbrzmiewa i dobrze odbija się w widowni; znać, iż artystka przeszła świetną szkołę (jest uczennicą pp. Paschalis-Souvestre'ów) i pracowała dużo nad sobą, posiada nadto doświadczenie sceniczne i przedstawia się wogóle bardzo dodatnio. Każdy frazes jest przez p. Frenklównę wypowiedzany naturalnie i swobodnie, przeto dobitnie i ładnie, występy solowe są traktowane wysoce artystycznie,

a zbiorowe — z należą siłą dramatyczną i wytrzymałością. Debiut powiódł się tak dobrze, iż nowa dyrekcya teatrów zakontraktowała utalentowaną artystkę i przez to wzmocniła kadry naszej opery o jednostkę bardzo wybitną.

Razem z p. Frenklówną rolę Aidy śpiewała p. Bordalba (włoszka) i pomimo wysiłków nie mogła zrównać się z partnerką, chociaż wykonywała partję tytułową; znać, iż artystka kiedyś należała do wybitnych śpiewaczek, dziś już jednak nie może zadowolić większych wymagań słuchacza. Bardzo dobrym Radamesem był p. Russitano, tenor sumienny i obdarzony silnym głosem, niezbyt może bogatym w brzmienie metaliczne, ale bądźco bądź ładnym. Doskonale odtwarza arcykapłana p. Sillich.

Po dłuższej przerwie wznowiono operę Thomas'a p. t. „Hamlet“, nieśpiewaną od czasu wyjazdu p. Battistini'ego i p. Pacini. Tym razem Ofelię wykonała utalentowana śpiewaczka koloraturowa, p. Huguet de Arnold. Artystka wywiązała się z zadania sympatycznie, interpretując rolę bardzo szlachetnie. Hamletem był p. Camera, który odtworzył postać królewicza duńskiego dramatycznie, lecz pod względem wokalem nie wywołał pożądanego wrażenia, pomimo sumiennych w tej mierze starań.

Z prowincyi donoszą o laurach, jakie w różnych miastach zbierał prof. Al. Michałowski, który pod dobrą imprezą p. P. Magnuskiego, dał szereg koncertów Szopenowskich. Powodzenie tych koncertów było olbrzymie; znakomity interpretator Chopina grał, oczywiście, po mistrzowsku i zbierał oklaski, wieńce, — słowem, święcił wielkie tryumfy. Obecnie nasz znakomity pianista wybiera się do Kijowa, a ztamtąd udaje się do Wiednia, gdzie go ściga jeden z słynnych impresaryów naddunajskich.

Kronikę naszą zamknąć musimy wspomnieniem pośmiertnem. W d. 10 b. m. zmarł nagle w Warszawie ś. p. Jerzy Józef Skwarkowski, profesor zasad muzyki w konserwatorium. Uzdolniony muzyk zgasł w sile wieku, bo liczył zaledwie lat 46. Posadę profesora objął po Karolu Studzińskim w r. 1883 — i jako pedagog zdobył sobie uznanie ogólne. Uczniowie, dla których pracował, cenili działalność profesora i otaczali go szczerą życzliwością. Zszedł z tego świata, żalowany przez wychowawców i kolegów.

Rada pedagogiczna na opróżnione stanowisko profesora zasad muzyki w Instytucie muzycznym powołała p. Mikołaja Biernackiego, b. dyrektora towarzystwa muzycznego w Stanisławowie, obecnie redaktora muzycznego „Echa“. Wybór to bardzo trafny i dla konserwatorium pożyteczny.

A. Dobrowolski

List z Anglii.

Karnawał w Londynie mniej bywa ożywiony aniżeli w innych wielkich miastach. Właściwym karnawałem anglików, mogących wydawać na zabawy wiele pieniędzy i poświęcać w tym celu dużo czasu,—jest wiosna. Arystokratyczny i zamieszany, mieszczański świat stolicy w większości ucieka na południe. Monte-Carlo i w ogóle wszystkie miejscowości Rivieri roją się od anglików, a podróż w zimie do Egiptu stała się dla bogatych mieszkańców Wielkiej Brytanii rzeczą tak zwykłą, jak z końcem wiosny ogólna wyprawa do letnich siedzib. Na ulicach Kairu język angielski spowszechniał tak dalece, że nie zwraca już niczyjej uwagi.

W tych dniach Londyn zajęty był uroczystością otwarcia parlamentu, które odbywa się wedle odwiecznego ceremoniału, przechowywanego z prawdziwie angielską ścisłością. O godzinie 10-ej z rana kilku oficerów gwardyi piechotnej przegłada cały gmach parlamentu od piwnic do

strychu, bacząc niby, czy nie są gdzie ukryte jakie beczki z prochem. W jakiś czas później zgromadzają się w wielkiej sali lordowie-komisarze, tym razem byli to: Lord-kancelarz, książę Portland, earl Pembroke, wicehrabia Cross i lord Balfour. Zaledwie ci się zgromadzili, aliści do sali wchodzi „Black rod“ (herold z czarną laską), kłania się lordowi kancelarzowi, od którego otrzymuje rozkaz zaproszenia gmin do sali lordów, inaczej zwanej salą złotą. Herold kłania się znowu nisko i spieszy przez dalsze komnaty i galerie do sali gmin. Straż, ustawiona w galeriach, woła wielkim głosem: „Miejsca dla Black rod'a!“ co brzmi dość zabawnie, albowiem na przejściach prócz straży niema nikogo. Przed drzwiami Izby gmin odgrywa się scena, sięgająca zapewne bardzo dawnych czasów. Z chwilą, kiedy „Black rod“ do drzwi się przybliża, te zostają mu przed nosem zatrzaśnięte i herold musi trzykrotnie prosić o ich otwarcie. Kiedy po trzecim wezwaniu, podwoje sali gmin otwierają się szeroko, stary generał, jakiemu przypada zawsze rola herolda, wkracza do sali z ukłonem i w krótkich słowach powiada o celu swego przybycia. Na to z pomiędzy zebranych wysuwa się speaker (mówca, właściwie tutaj marszałek sejmu) i przy boku herolda kroczy do Izby parów, czyli do sali złotej. Przed speaker'em jeden ze strażników niesie „the mace“ (berło). Za nimi członkowie Izby gmin tłoczą się bezładnie i tak dochodzą do złotej sali. Tu marszałek sejmu składa trzykrotny ukłon lordom-komisarzom królowej, na który oni także trzykrotnym odpowiadają ukłonem i wtedy to reglament ceremonjału zapowiada ukazanie się królowej. Od kilku lat jednakże jeden z lordów objaśnia zgromadzonych, że królowa z powodu wieku i nadwątłego zdrowia przybyć osobiście nie może, a zatem jej miejsce zastąpi książę Walii. Na tem kończą się dziwactwa staroświeckiego ceremonjału.

Książę Walii jest osobistością bardzo w Londynie popularną i serdecznie lubianą, krąży o nim tysiące anegdot, często zabawnych, a zawsze dowodzących nadzwyczajnej dobroci serca angielskiego następcy tronu. Ukazała się w wystawach księgarskich nowa książka, poświęcona opowieściom z życia księcia, poczynając od najwcześniejszych lat jego dzieciństwa. Pomiedzy innymi znajdujemy tam wspomnienie z pierwszego pobytu księcia w Paryżu. Było to podczas wojny Krymskiej. Dziesięcioletni książę Walii i siostrzyczka jego, późniejsza cesarzowa Fryderykowa, zostali przedstawieni na francuskim dworze i ugoszczeni przez Napoleona III-go. Cesarz francuski i żona jego czynili co tylko mogli, aby pobyt dzieciom uprzyjemnić. Mały książę bawił się tak dobrze, iż siedząc przy stole obok cesarza, prosił, żeby jemu i siostrzyczce jego wolno było pozostać jeszcze jakiś czas w Paryżu po wyjeździe rodziców do Anglii. Kiedy cesarzowa Eugenia uczyniła na to uwagę, że ojcu i matce tęskno za synkiem i córeczką będzie, malec odpowiedział wcale nie zmieszany: „o, wcale nie! jest nas jeszcze sześciu w domu, i tak dosyć hałasu!“ Książę Walii nie zapomniał nigdy dobroci Napoleona, okazywanej mu w dzieciństwie i do ostatniej chwili, jak mógł, osładzał pobyt byłego cesarza w Chislehurst.

Książę Walii ma szczególnie upodobanie w jeżdżeniu do pożarów. Czasem unosi się do tego stopnia, że razem ze strażakami czynny bierze udział w niesieniu ratunku. Kilka lat temu wskoczył do płonącego domu, z kądem szczęśliwie wyniósł małą dziewczynkę. Obok zapamiętałego uprawiania przeróżnych sportów, nie jest bynajmniej obojętnym na sztuki i poważną wiedzę i w Malborough House nierazko odbywają się posiedzenia rozmaitych komitetów i ciał naukowych.

Żona księcia Walii, kobieta istotnie wyjątkowego wykształcenia, śledzi za ruchem umysłowym kraju z niezmierną gorliwością. Obecnie wielkie zajęcie okazuje projektowi, podanemu przed dwoma miesiącami przez jedno z poważniejszych literackich pism angielskich—Academy. Pismo to projektuje utworzenie na wzór francuskiej, angielskiej Akademii nieśmiertel-

nich. Projekt, podany przez Academy, zdaje się niedługo w życie wprowadzonym zostanie. Pomiędzy innemi, zadaniem Akademii będzie, każdego roku ogłaszać konkurs na pracę literackiej treści. Nagroda nie będzie bynajmniej symboliczną palmą albo wieńcem wawrzynu, lecz zwyczajnym czekiem na sto gwinei (1000 rs.). Nagroda druga wynosić ma połowę tego.

W bieżącym miesiącu redakcja wyżej wspomnianego pisma podała listę wybranych przez siebie kandydatów na owych nieśmiertelnych. Lista obejmuje nazwisk czterdzieści, czyli też samą liczbę, z jakiej składa się Akademia francuska.

Sądę, że nie od rzeczy będzie wymienić tu wybitne te nazwiska, z dodaniem do każdego paru słów komentarza. Z małym wyjątkiem nazwisk, należących do naukowego albo politycznego świata, stanowią one niejako skorowidz najprzedniejszych sił piśmiennictwa angielskiego. Nie znaczy to wcale, bym śmiało wątpił o zajmowaniu się literaturą angielską przez ogół moich czytelników, niepodobna wszakże śledzić za każdym nazwiskiem, zaznaczonem na polu obcego piśmiennictwa.

John Ruskin, największy angielski stylista, Gladstone i Herbert Spencer, nie wymagają długiego zatrzymywania się nad nimi, nazwiska ich dobrze są znane szerokiemu światu. Dalej idą: książę Argyll, obok polityki uprawiający poezję. Poeta liryczny, wielkiej siły, Swinburne, przy nim zaś nieco słabszy talentem, George Meredith. John Morley, prowadzący za czasów Gladstone'a interesy Irlandyi, przytem doskonały historyk. Tomasz Hardy, romansopisarz. James Brice, professor prawa cywilnego w uniwersytecie Oksfordzkim, prace jego z dziedziny historycznej, geograficznej i politycznej, do których czerpał materiały z własnych podróży, należą do najcenniejszych w tym rodzaju w języku angielskim. Sir Georges Otto Trevelyan, także jedna z wybitnych osobistości za rządów Gladstone'a, znakomity biograf Macaulay'a i innych geniuszów Anglii. Leslie Stephen, zięć Thackeraya, dawny redaktor „Cornhill Magazine”, dziś kierujący olbrzymim dziełem „Dictionary of National Biography.” Georges Mac-Donald, wskrzesiciel historycznego romansu w literaturze angielskiej. Romansopisarz Richard Blackmore. Prawdziwy poeta z Bożej łaski—Rudyard Kipling, sławiony poematem „Na siedmiu morzach” (The seven seas) i licznymi obrazkami z Indyi. Nieco dziwnie obok niego wygląda nazwisko lirycznego poety Aubrey'a de Veres. Koledzy chcą może 83 letniemu starcowi dać się trochę nacieszyć nieśmiertelnością tu na ziemi. Dalej, profesor Jebb w Cambridge, badacz literatury greckiej. Dr. Salmon, matematyk, członek prawie wszystkich akademii nauk w Europie. Skeat, etymolog, znakomity znawca historii i literatury anglo-saksońskiej. Encyklopedysta James A. H. Murray. W. P. Ker, dramaturg, wyborowi którego opiera się młodsza prasa. Inaczej rzecz się ma z W. Lecky, którego socjalno-filozoficzne prace znane są w licznych tłumaczeniach, a wybór jego pochwalają wszystkie stronnictwa. Naturalnie, że nie pominięto największego historyka Anglii, Samuela Gardinera, uważając go za jednego z przyszłych filarów Akademii. Za nim „Academy” cytuję dwóch historyków, biskupów: Stubbsa i Creightona, jakoteż czcigodnego Aldana Gasquet'a, wszystkich trzech jako świeczników w naukach teologicznych. Z krytyków, przed innymi wyszczególniony jest W. E. Henley, najnowszy komentator Byrona. Dalej Andrew Lang, współpracownik „Daily News”, przyjemny przytem poeta liryczny i autor wielu baśni. Także Wiliam Archer, tłumacz Ibsena i krytyk teatralny. Z pomiędzy dziennikarzy wymieniono Trilla, którego poematy i „monografie angielskich mężów stanu” drukowane w jego „Saturday Review” znalazły ogólny poklask. Edmund Wiliam Gosz, poeta i historyk literatury, niemniej od poprzednich zasługuje na zaliczenie go w poczet nieśmiertelnych. Znany, choć spaczony, poeta Francis Thompson, obok, wybitny przedstawiciel młodej Irlandyi, dramaturg, siłą talentu dorównujący

Hauptmanowi i Mästerlingowi, Wiliam Yeats. Listy kandydatów dopełniają: Henryk James, romansopisarz i Austyn Dobson, poeta nadworny; I. M. Barrie, pełen fantazyi poeta i powieściopisarz; dramaturgowie: Artur Pinero (znany też i na Warszawskiej scenie) i Gilbert; wreszcie autor bardzo rozpowszechnionej bajki pod tytułem: „Alice in wonderland” (Alicya w krainie cudów), w świecie literackim znany pod nazwiskiem Lewi: Carrol, jako zaś profesor matematyki zowiący się Karol Dodgson.

Oto wyliczyłem 38 nazwisk, a dwa ostatnie? Czytelniczki moje zdziwią się zapewne, dowiedziawszy się, że Akademia angielska chce być uprzejmiejszą od francuskiej i dwa miejsca zachowała dla płci pięknej. Jedno ma zostać przyznane pani Meynell, poetce, której liryczne strofy, opiewające dzieje serc niewieścich, z istotnym pisane są talentem. Drugą nieśmiertelną ma zostać pani Humphry Ward; powieść jej pod tytułem „Robert Elsmere” zdobyła europejski rozgłos.

Lista niniejsza nie jest jeszcze może stanowcza, w każdym jednak razie obejmuje pierwszorzędne siły.

Nie należąc do Akademii, niewątpliwie nieśmiertelnym stał by się dr. Emmens, gdyby to, co było marzeniem tylu wieków, powiodło mu się zamienić w rzeczywistość, i—jak on twierdzi—na zasadzie przemiany metali znaleźć ów dotychczas bajeczny kamień filozoficzny. Przed dwoma już miesiącami „Chronicle” a potem „Daily News” wydarły d-rowi Emmens jego tajemnicę i podzieliły się nią z ogółem.

Dr. Emmens, zanim jeszcze wyprowadził się do Ameryki, znanym był w Anglii jako znakomity elektrotechnik. Od lat siedemnastu odjętą mu władzę w nogach i skazany jest na życie w fotelu na kółkach. Nieszcześnie to zmusza go do bardzo odosobnionego istnienia i to może przyczynia się do jeszcze silniejszego ześrodkowania wszystkich władz myślenia przy pracy nad wynalazkiem.

Nieliczone doświadczenia dowiodły, że każda materyja składa się z pewnej liczby pierwiastków, których w naturze jest około siedmdziesięciu, a które za pierwiastki uważane są dlatego, że chemikom nie udało się dotąd ich rozłożyć. Kali np. było tak długo pierwiastkiem, aż go Humphrey Davy rozłożył za pomocą elektrycznego prądu.

Uczeni, w ogóle doszli do przekonania, że wszystkie pierwiastki są ciałami złożonemi o jednej podstawowej substancji. Gdyby ta jedna, ta podstawowa wszystkich materyj substancja, odkryta została, wtedy możnaby wytwarzać złoto, drogie kamienie, i wszystko, czegoby dusza zapragnęła. Zanim to jednak nastąpi, upłynie pewnie więcej czasu, aniżeli go było potrzeba do odkrycia, dokonanego przez doktora Emmens'a.

Emmens w sprawozdaniu swoim o odkryciu argentaurum opowiada, iż doszedł do onego, usiłując otrzymać czyste żelazo i czysty nikel. Podczas swych doświadczeń napotkał nową substancję, którą później otrzymywał także z kobaltu. Widocznie jest ona wspólną pewnej grupie pierwiastków. Emmens, wiedząc że złoto i srebro należą do jednej i tej samej grupy, pomyślał, iż posiadają jakąś wspólną substancję, odkrywając zaś ją, możnaby jeden pierwiastek zamieniać w inny. Chemik Carey Lea doszedł do tego, że srebro w pewnym stadium rozkładu okazuje żółtawy zupełnie kolor. Emmensowi udało się doświadczenie to przeprowadzić dalej, to jest, jak rzekliśmy, otrzymał ową nową substancję, którą nazwał argentaurum. Wynalazca pragnie tą drogą dojść jeszcze dalej i srebro zamieniać na złoto.

Gdyby Emmensowi udało się jego doświadczenie, mógłby w przeciągu miesiąca przy pomocy przez siebie wymyślonych aparatów, sprodukować 50,000 uncyj złota, co znaczyłoby 20 milionów marek, czyli 240 milionów marek rocznie.

Powracając raz jeszcze do nieśmiertelności tu na ziemi, miałem świeży dowód, jak pamięć ludzka wieki przetrwać umie.

Pisma tutejsze, opisując kosztowne reperacje, dokonywane obecnie w zamku Holyrod, jednej

z najpiękniejszych pamiątek po Maryi Stuart, tak dalece wskrzesiły o niej pamięć, że i moją wzbudziły ciekawość, i z kilkoma znajomymi sprawozdawcami wybrałem się do Edynburga, aby ów zamek obejrzeć.

Zwiedziłem wszystko z przejęciem nie mniejszem, jak to uczynili moi towarzysze, i choć pobieżnie spisuję tu świeże moje wrażenia. Wszystko w zamku zachowane jest tak, jak było za życia pięknej jego mieszkanki, nawet baldachim nad łóżkiem nie zmienił draperii zwieszającej się na czterech złożonych filarach, czas tylko przyćmił barwę jedwabiu. Prawie tuż przy łóżku znajdują się zamaskowane obicie drzwi, które wedle przechowanego w Szkocyi mniemania prowadziły do komnat Darnley'a. Po za temi ukryte są wazkie, kręte schody; po nich to dostali się sprzysiężeni, którzy zamordowali Riccia. Do pokoju sypialnego przylega mały pokój, w wieży zamkowej położony. Do tego także wchodzi się przez maleńkie, niewidzialne drzwiczki. Tutaj Haufen zabił włoskiego śpiewaka. Było to 9 Marca 1566. Królowa siedziała w ulubionym swoim kąciu, gdzie najchętniej, w nielicznym gronie zaufanych, zabawiła się śpiewem i rozmową.

Wymagania nowszych czasów zmieniły się ogromnie, w starych pałacach i zamkach średniowiecznych obok olbrzymich komnat, przeznaczonych na obchody uroczystości, znajdujemy bardzo wiele pokoiów małych, dosyć ciemnych, które w obec dzisiejszych nawyknień, jako mieszkania królów dziwnymi się wydają.

Zmierzyłem naprzykład jadalną salę, w której zwykle siadała do stołu królowa Szkocyi: 3 metry 20 centymetrów w kwadrat—to chyba nie wiele. Marya jadła najczęściej w towarzystwie siedmiu osób, stanowiących jej dwór, można sobie wyobrazić jak ciasno było przy stole.

Z pokoju jadalnego przechodzi się do drugiego pokoju w wieży, gdzie wiele znajdujemy pamiątek, przywiezionych przez Maryę z Francyi, a także jej dwa portrety olejne, które bynajmniej nie dają wyobrażenia o piękności, z jakiej słynęła. Sławę jej wdzięków ratuje portret, znajdujący się w sypialni, podobizna ta cieszy się największem spopularyzowaniem w Szkocyi, widzi się ją powtórzoną w tysiącnych reprodukcjach, i jeśli tę za prawdziwą przyjmiemy, zrozumiemy zachwyty jej współczesnych.

Historia miewa czasem dziwną ironię. Dłaczego np. nie złożono zwłok Maryi w Holyrod, tylko przewieziono je do Opactwa Westminsterskiego w Londynie i złożono obok zwłok królowej Elżbiety, w równie jak tamtej wspaniałym grobowcu. Owe dwie śmiertelne nieprzyjaciółki, które za życia pały ku sobie nieubłaganą nienawiścią, spoczywają obok siebie jak kochające się siostry. Podobne wrażenie odnosi się, patrząc na dwa portrety: Maryi i Elżbiety, obok siebie zawieszzone w sali audjencyonalnej zamku Holyrod.

Sala audjencyonalna jest największą komnatą w zamku i rzeczywiście wspaniale urządzoną i zachowaną. Razi w niej tylko ustawione w jednym rogu łóżko. Dla szkotów łóżko to stanowi historyczną pamiątkę i dlatego pozostaje niekniętem. Na tem łóżku spoczywał nieszczęśliwy pretendent do korony, Karol Stuart, przed bitwą pod Culloden.

Budowa zamku i położenie jego mają w sobie coś smętnego, prawie ponurego, mimowoli myśl odbiega w przeszłość i wywołuje obrazy z historii Szkocyi, w której rodzina Stuartów rzeczywiście w dziwnie srogi, zacięty sposób przez los przesładowana była. Drugi Stuart zostaje przez angiłków zamordowany; trzeci po osmnastoletnim więzieniu ginie tak samo; czwarty traci życie wypadkiem, przy pęknięciu broni; piąty zostaje zamordowany po przegranej bitwie; szósty znów pada na polu bitwy; siódmy umiera zwyciężony, córka jego, Marya Stuart, po długoletnim więzieniu, zostaje ściętą; wnuka Maryi spotyka ten sam los; syn tego zaś zmuszony jest opuścić ojczyznę i dopiero po wielu latach do niej powraca; wreszcie Jakób II-gi, zrzucony z tronu, umiera na wygnaniu.

Zaiste długi szereg nieszczęść i krwawych czynów! Aż lżej się oddycha na myśl, że w obec dzisiejszych obyczajów taka potworna historia powtórzyć się nie może.

S.

Kronika działalności kobiecej.

— Pani Regina Neisser rozpoczęła z dniem 20 Stycznia b. r. szereg odczytów w Wrocławiu, pod ogólnym tytułem: „Postacie kobiece z greckich podań i poezji”. Na pierwszy odczyt wybrała „Antygonę”.

— Dwie słuchaczki medycyny na Peszteńskim Uniwersytecie zyskały w nagrodę swej wielkiej pilności stopnie „demonstratorek anatomii”, które im przyznał profesor odnośnej wiedzy. W Peszcie znajdują się dwa gimnazja żeńskie, oba jednakowoż jeszcze na koscie prywatnym.

— W Brukseli ofiarowano stanowisko doktora w urzędzie lekarskim miejskim pani Blondeau, doktorce medycyny.

— W Holandyi przygotowuje się wystawa „Działalności kobiecej”. Częścią dekoracyjną, zewnętrzną kieruje jedna z artystek, a działy wystawy będą następujące: Prace z dziedziny przemysłu i handlu, sztuki piękne, pielęgnowanie chorych, higieny, gospodarstwo wiejskie i ogrodnictwo, hodowanie kwiatów, chów drobiu, pszczelarstwo. Osobno oddziały: wschodnich i zachodnich Indyi, fotografia i sport, o ile są uprawiane przez kobietę. Inicjatorce tej wystawy pragną licznym zgromadzeniem różnych prac kobiecych, a zarazem wykazaniem ich dokładności, pożytku i rozmiarów, podnieść znaczenie pracy niewieściej w ogóle, a zatem i konieczność lepszej zapłaty niż dotychczas. Nie znajdujemy jednak w wyliczonych działach ani pedagogicznego, ani działu osobnego poświęconego pielęgnowaniu dzieci; na wystawie czysto kobiecej powinny te działy istnieć bezwarunkowo; jeśli uwzględniono osobno kwiaty, pszczoły i drób, to dla czegoż ludzki drobiazg nie ma osobnego miejsca; a jeśli ma, to chyba go—dodano do higieny, ale to za mało; wprawdzie taki dział nie podniósł by cen zbytu niewieściej roboty, bo za pielęgnowanie dzieci nikt matce nie płaci, ale nie jestże to dział najważniejszy w ogólnym obrazie pracy kobiecej, a jeśli doszedł do doskonałości, to tem bardziej można dla doświadczenia innych kobiet wystawę urządzić ze wszystkich tych szczegółów, które dotyczą pielęgnowania niemowląt, dzieci i młodzieży.

— Wynalazki kobiet. Panna Chaw z Chicago wynalazła emalię, która przetrzymuje próbę ognia i już zawiązała się stowarzyszenie, które ma wyzyskać, a na mocy patentu, rozpowszechniać tę emalię. Panna Jane Kaye, niedawno zmarła w Leeds, wynalazła system kontroli taksy dla podróżujących, którą to kontrolę zaprowadziło już towarzystwo omnibusów angielskich. Pani Blackburn, zajmująca się specjalnie elektrycznością, dokonała obecnie oświetlenia wielkiej opery w Syrakuzach w Stanie New-York w Ameryce, za pomocą 1250 lamp żarowych, które oświetlać będą scenę, widownię i foyer teatralne. Panna Jennie Wertheimer w Cincinnati sprzedała za 125,000 franków swój system pa-

pieru do handlu, na którym raz napisane wyrazy nie dadzą się niczem zniszczyć ani wyskrobać. Będzie to miało donośne znaczenie w prowadzeniu ksiąg kasowych i w kontroli wszelkich handlowych umów na piśmie czynionych.

MYŚLI.

Dwadzieścia lat mogą schodzić się ludzie w salonie i nie znać się nawzajem, ale skoro razem w Stowarzyszeniu pracują, poznają z konieczności swe usposobienia. Bo wielka różnica rozmawiać a pracować, bawić się a spełniać ważne zadanie. W tem zetknięciu się blizkiem uczymy się bronić swej woli i poglądów, ale niemniej szanować wolę innych, której bez szemrania musimy się poddać jeżeli większością jest uznana. Przez dobrowolne posłuszeństwo ustawie Stowarzyszenia ćwiczymy swe dobre strony, przygotowujemy się do trudnego zadania życiowego, kształcimy się i lepiej poznajemy samych siebie i nabywamy sztuki wychodzenia z innymi zgodnie choć z osobistą godnością. Jak życie rodzinne jest wielką szkołą naszego serca—tak życie w stowarzyszeniach jest wyborną szkołą umysłu i charakteru.

El. Krasnohorska.

Może za wiele wymagamy od was, niezmordowane i natchnione córki naszego narodu? Ale żądamy wiele dlatego, żeście niejednokrotnie dowiodły, iż wiele dokazać potraficie. Idźcie tedy dalej po drodze postępu, czyny i pragnienia wasze niech będą błogosławione! Pragnienia niech staną się czynami a czyny pomyślnym uwieńczą skutkiem.

El. Krasnohorska.

Zbyt ścisła sprawiedliwość, bywa często najwyższą niesprawiedliwością.

Cycero.

Podczas wojny—milkną prawa.

Maryusz.

ZAPISY NA CZŁONKÓW

Towarzystwa Kolonii Letnich.

Lat szesnaście upłynęło już od chwili, jak weszły w życie kolonie letnie dla ubogich i słabowitych dzieci naszego miasta.

Ogół nasz oświecony zrozumiał dobrze doniosłość tego miłosiernego przedsięwzięcia, zrozumiał znacznie kolonii letnich dla zdrowia i dla

uobyczajenia młodych pokoleń, odczuł gorąco radość i pociechę, jaką ubogim rodzicom i ich upośledzonej dźwiatwie przynosi wyjazd na wieś, lub do miejscowości leczniczej:

Ofiary płynęły i wciąż wzrastały.

Dzięki ofiarności ogółu miejskiego i wiejskiego, grono osób, urządzających kolonie letnie było w możności zapewnić dobrodziejstwo pobytu na świeżem powietrzu przeszło 2100 dzieci w ciągu ubiegłego lata.

Niestety, prawie drugie tyle dzieci, pragnących korzystać z tego dobrodziejstwa i zasługujących na nie, spotkało się z odmową, dla braku środków potrzebnych do zaspokojenia ich prośby.

Kolonie letnie stały się już dziś potrzebą prawidłową w życiu ludności naszego miasta. Nie tylko ich utrzymanie nadal, ale i rozszerzenie ich zakresu jest oczywistą koniecznością.

W maju r. z. kolonie letnie zyskały trwałą podstawę przez zatwierdzenie ustawy. Towarzystwo kolonii letnich od pół roku weszło w życie.

Od licznej a rozumiejącej sprawę zastępy uczestników nowego towarzystwa zależy nie tylko byt materialny i zwiększenie zakresu działania instytucji, ale i pozyskanie rękoma, co do właściwego kierunku jej działania nadal.

Pożądaniem więc jest, aby jak największa liczba osób dobrej woli zechciała, przez zapisanie się w poczet uczestników towarzystwa, zwiększyć grono jego pracowników. Należy, by jak najszerze koło naszej ukształconej publiczności radziło i krzątało się około sprawy, która dotyczy najżywoźniejszych interesów materialnych i moralnych naszych ubogich współobywateli.

Osoby obojga płci, pragnące zostać uczestnikami Towarzystwa kolonii letnich w r. 1898, zechcą wypełnić odpowiednio deklaracje w biurze Towarzystwa (ul. Hortensya N. 1), codziennie, z wyjątkiem niedzieli i świąt, od godziny 10-jej do 3-jej, jakoteż u członków Komitetu kolonii letnich.

W początku marca 1898 r. odbędzie się zebranie ogólne doroczne Towarzystwa Kolonii letnich, w którym będą miały prawo uczestniczyć wszystkie osoby, zapisane przed tą datą w poczet uczestników.

Na posiedzeniu rzezonem dokonane będą między innymi wybory na 5 członków komitetu i przedstawiony będzie wraz z projektem budżetu, plan kampanii na r. 1898.

Do obecnego komitetu, wybranego przez Zebranie Ogólne i zatwierdzonego przez Władzę należą: Aleksander Czajewicz, skarbnik Towarzystwa; Stefan Godlewski; Wanda Higersberger; Henryk Konic, sekretarz; Dr. Wiktoryn Kosmowski, prezes; Dr. Stanisław Markiewicz, wiceprezes; Dr. Antoni Natanson; Jadwiga Pawińska; Stanisław Rotwand; Jan Szelnier; Julian Wieniawski; Ks. Mieczysław Woroniecki i Adam Zakrzewski, Kontroler. Do Komisji rewizyjnej wybrani zostali: Jan Berson, Stanisław Pfeiffer i Władysław Skłodowski.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu” dołącza się: arkusz 12 i 13 powieści, p. t. *Masarenowie*, przez Ouidę. Przekład Z. S.

Treść: Wykształcenie praktyczne dziewcząt w Szwecji, przez M. B. — Bezkrólewie, powieść historyczna w 2 ch częściach, przez Maryę Łopuszańską (dalszy ciąg). — Kwestya tanich mieszkań, przez E. S. — Po błękitnych morzach, przez Stanisława Maszewskiego. — Ruch muzyczny, przez Adama Dobrowolskiego. — List z Anglii, przez S. — Kronika działalności kobiecej. — Myśli. — Zapisy na członków Towarzystwa Kolonii Letnich.

Dodatek obejmuje: *Masarenowie*, powieść, przez Ouidę, arkusz 12 i 13. Przekład Z. S. — Przegląd mód. 25 wzorów i robót z opisem. — Sekreta gospodarskie. — Dyspozycje obiadu.